

Wieczory Rodzinne

Nr 9

DZIAŁ DLA DZIECI

28 lutego 1914 roku.



Mała piastunka.

Wielki Post.

Popielec, przysypując głowy ludzkie popiołem, oznajmił uroczystie początek sześćcio-tygodniowego Wielkiego Postu. Umilkły huczne tony tanecznej muzyki, zniknęły ze stołów mięsiwa i pączki, dając miejsce rybom oraz innym potrawom z sera, mąki i mleka.

— O, jakie to niedobre! mówiła Jania, wykrzywiając grymasnie usta na widok śledzia z kartoflami, a zupy grochowej przy obiedzie.

— Zapewne chciałabyś bezustannie zjadać pączki, faworki i tylko tańczyć, tańczyć, zawołał drwiąco Romek.

— Nie myśl żem lekkomyślna tak, jak mię o to posądzasz, — odparła Jania — nie, doprawdy nie, wierzaj mi. Wiem przecie wybornie, że na pamiątkę Męki Zbawiciela musimy obchodzić ściśle Wielki Post.

— A jeszcze w jaki sposób? — pytał Romek — egzaminując umyślnie Janię z jej wiadomości religijnych.

— Bywają wtedy rekolekcje — odpowiedziała poważnie zagadnięta, chodzimy więc do kościoła, aby wysłuchać świątłych nauk kapłanów i z należytem przygotowaniem przystąpić do spowiedzi i Komunii świętej.

— No dobrze — rzekł Romek — powiedz mi proszę cię w którym to tygodniu Wielkiego Postu najwięcej jest obrządków kościelnych?

— Naturalnie, że w ostatnim czyli w Wielkim — odrzekła Jania. Zaczynając od niedzieli Palmowej, wszystkie dni są celebrowane w różny sposób, jesteśmy wówczas wolni od nauki, jeżeli zechcesz możemy uczestniczyć w wielu ceremonjach obowiązujących wiernych Kościołowi.

Romek zamyślił się, po chwilce milczenia odezwał się:

— Owszem, z chęcią moja Janiu, wstyd mi byłoby nie wiedzieć o tem o czem wszyscy chrześcijanie wiedzieć powinni, ale zapomniałem ci przypomnieć Środopocie, wbiło

mi się w pamięć doskonale z powodu, że nasza służąca Marjanna wyrzuca na podwórko i tłucze stare skorupy garnków.

— Prawda, prawda, wymówiła ze śmiechem Jania — ogólnie służące to czynią z dawnego bardzo zwyczaju, tyle dużego hałasu wszędzie, aż się nieraz przestraszyć trzeba.

— Całych sześć tygodni Wielkiego Postu, czas długi, powiedział z rozwągą Romek, musimy oczekiwać radosnych świąt Wielkiejnocy.

— Radosnych, powtórzyła Jania i to podwójnie z powodu Zmartwychwstania Zbawiciela, a przybycia zarazem wiosny.

— Tak bym pragnął, żeby to było prędzej, — ubolewał Romek.

— Czekaj braciszku, pocieszyła go Jania, przedewszystkiem dla skrócenia czasu zajmijmy się gorliwie nauką, spowiedzią, tem cośmy uprzednio mówili, ani się obejrzymy, jak Wielki Post zleci niepostrzeżenie i Wielkanoc zawita.

— Masz słuszość Janiu — zabieram się wnet do swoich książek, radzę ci również to uczynić — wyrzekł Romek ochoczo.

Pokój zaległa cisza, dwoje pilnych dzieci uczyło się z zapalem i wiarą, że łącząc pracę z modlitwą, doznają słodkiego zadowolenia ze spełnionego obowiązku, jakie społeczeństwo i kościół nakłada.

Marja Romualda.



O obowiązkach dzieci dla rodziców.

Dokończenie.

Najpiękniejszy i najwznioślejszy przykład uległości i szacunku dla rodziców dał dzieciom Pan Jezus, Zbawiciel świata, w czasie swego pobytu na ziemi. Bogiem był najwyższym i Jemu cześć się od Najświętszej Panny i świętego Józefa należała, a jakże On był im posłuszny, jak we wszystkim poddany!

Wzór Pana Jezusa naśladowało i naśladuje wiele bardzo dobrych dzieci, pełno tego przykładów w żywotach Świętych mamy.

Piękny przykład miłości i uszanowania dla rodziców zostawił nam król Bolesław III Krzywousty, jeden z najwaleczniejszych naszych królów. Ojca swojego on tak miłował, że wolę jego spełniał, a pamięć czcił nawet po śmierci. Przez pięć lat po nim chodził w żałobie, a wizerunek jego, na złotej blasze wyryty, nosił zawsze na piersiach, aby ciągle jakby w obecności ojca pozostając, chronił się występku, a pilnował cnoty. Ile razy spojrzał na ten wizerunek, zwykle mawiał: „Niech mnie Bóg zachowa, ażebym popełnił co niegodnego błogosławionej pamięci mego ojca“.

Wysoki szacunek i uległość dla rodziców okazywał też jeden z naszych sławnych poetów, Franciszek Karpiński. Opowiadają zwłaszcza jeden budujący szczegół z jego życia. Kiedy jako uczony akademik powrócił ze Lwowa do domu rodzicielskiego, znalazł się raz w towarzystwie sędziwych gości, sąsiadów. W czasie rozmowy, dufający w swą umiejętność młodzieniaszek, począł zaśmiało prawić do gości, nie zważając na ich siwe włosy. Nie podobała się ojcu ta zarozumiałość młodzieńcza tak, że w uniesieniu w twarz go przy wszystkich uderzył, na znak dotkliwej przestrogi. Dobry syn zamiast się oburzyć, uznał swą winę i, nie zwa-

żając na wyrządzone mu publiczne zawstydzenie, pokornie do kolan ojca się pochylił i prosił o przebaczenie.

Wzruszony tem ojciec, ucałował jedynaka i rzekł:

— Podwójny cel miałem w tem skarceniu: chciałem ci przypomnieć, że nauka nie upoważnia do lekceważenia starców, tembardziej, gdy są przyjaciółmi ojca — a potem pragnąłem cię doświadczyć, czy tam na wielkim świecie nie wygasły w tobie uczucia synowskie, jakie się ojcu należą. Widzę twój szczery żal i pokorę synowską, przeto odpuszczam ci winę, boć w mojej osobie naprawiłeś uchybienie starszym od ciebie, łaskawym gościom moim. Przeto wobec towarzystwa całego błogosławię cię, mój synu, policzkiem, jaki ci całłem.

Piękny wzór miłości dziecięcej podaje nam historia Krzysztofa Strzemeskiego, żyjącego przed 200 laty. Gdy turcy i tatarzy napadem polskiej ziemi grozili, młody Krzysztof, błogosławieństwem matki opatrzony, wyszedł bronić ojczyzny pod dowództwem sędziwego hetmana Żółkiewskiego. Bił się jak lew i cudem prawie uniknął śmierci. Gdy wrócił do domu, strasznej doznał boleści, matkę jego bowiem tatarzy z sobą gdzieś uprowadzili. Nie namyślając się ani chwili, podążył aż na Krym, gdzie główną swą mieli siedzibę i póty się dopytywał, aż matkę odnalazł.

Jakież to rzewne, jak szczęśliwe dla obojga było ich spotkanie! Biedna kobieta była już bliską śmierci, zacny syn osłodził jej ostatnie chwile. Gdy z błogosławieństwem na ustach życie zakończyła, za cenę wszystkiego co miał przy sobie, wykupił jej ciało i zabrał do Polski. Ten czyn bohaterski obudził cześć nawet w barbarzyńcach, za wzór go dzieciom pokazywano. A gdy po niesłychanych trudach i przygodach dotarł wreszcie do rodzinnej ziemi, witany był wszędzie z oznakami czci i z wielkiem rozrzewnieniem. Liczne zastępy duchowieństwa i ludu zbiegły się na pogrzeb szczęśliwej matki, co tak zacnego miała syna.

Kochajcież, dziatki, swoich rodziców, szanujcie i bądźcie im posłuszne, a szczęściem, długiem życiem, szacunkiem u ludzi i łaską się Bożą cieszyć będziecie.

Wiesławek.

Opowiadanie z dawnych czasów.

c. d.

II.

Kilka tygodni spędził już Wiesławek w orszaku pana z Nieborowic. Roboty nie miał prawie żadnej, bo ciągle byli w drodze, a jak coś przyniósł, posłużył, szatę jaką czy zbroję oczyścił, za nic to miał sobie, gdyż do pracy nawykł od małego. Chwilami wzbierała w nim tęsknota za rodzicami, za swoją wioską i chatką, ale ją prędko płoszyły różne wrażenia i ciekawe, a często zabawne przygody tego nowego życia.

Bo też to życie takie wesołe było i urozmaicone, że na smutne westchnienia czasu nie stało. Ciągnęli przez lasy i pola z końmi, z wozami, z liczną a ochoczą drużyną, mijali różne wsie i miasteczka, spotykali ludzi wielu i wielu zdarzeń byli świadkami... Wszędzie można się było dość napiatrzyć i nasłuchać, zabawić i pośmiać serdecznie, nie dziw więc, że się to ogromnie Wiesławkowi podobało. Nieraz wprawdzie bez trudu i zmęczenia się nie obyło, nieraz od rozgniewanego pacholka dostał porządnego szturchańca, nie martwił się tem przecież zbytecznie, ciesząc się i tem co oglądał i tem, czego się u kresu podróży spodziewał.

A kres ten nadszedł nareszcie; oj! byłoż to wtedy ciekawości i uciechy! Biedny chłopczyzna, co nic w swem życiu godnego uwagi nie widział, teraz miał sposobność przyjrzeć się gmachom Krakowa, o którym nasłuchiwał się tylu bajek i opowieści, do którego każdy polak rwał się całą duszą, jak

do słońca rzucającego promienie na kraj cały. Z czcią, z radością i z jakimś lękiem religijnym przyglądał się Wiesławek tym warownym murom, wysokim basztom, smukłym wieżom i szeptał do siebie w uniesieniu:

— Toć to nasz Kraków, nasz Kraków kochany!

Zaraz następnego dnia była niedziela, więc stary Bożym, u którego więcej niż u innych sług łaski sobie zdedył, zabrał go do miasta i począł oprowadzać po licznych i pięknych kościołach, opowiadając, co w którym było najważniejszego. Chłopak nie posiadał się z radości, nie potrafił wyrazić swojego zachwyty. Największe przecież wrażenie wywierał na nim ten ogromny, wspaniały zamek, na górze skalistej, Wawelem zwanej, zbudowany, a mieszkaniem przesławnych królów polskich uświetniony i ten kościół katedralny, stamtąd nad miastem królujący, w którym jak go Bożym objaśniał, pogrzeby się i koronacje królów odbywały i który tyle liczył pamiątek.

Ciekawił go też niezmiernie ten na rynku gmach długi i szeroki, co to go Sukiennicami nazywano. Ileż to w nim było sklepów, ile się ludzi kręciło, ile rzeczy wzrok przyciągało! Tamby siedzieć był rad całymi godzinami — i patrzeć tylko i słuchać, co się dzieje. Kilka razy tamtędy przechodzili, a zawsze Bożym musiał go ciągnąć za rękaw sukmanki, nawołując:

— Chodźże prędzej, dosyć tego gapienia.

Ale i Bożym na niego wołał, a sam z lubością wszystkiemu się przypatrywał, tembardziej, że Kraków niezwykle w tym czasie wyglądał. Stroiło się całe miasto jak na gody weselne, wszędzie gwar wesoły panował, gromadziły się tłumy ludu z dalszych nawet okolic, zjeżdżali coraz nowi panowie, wrzało jak w garnku. Błyszczące oczy, uśmiechnięte usta świadczyły o niezmiernej radości, przejmującej każdego, a gorączkowe przygotowania domyślać się kazały zbliżenia chwili upragnionej. Trudno się było nie weselić ze wszystki-

mi i nie chwycić z uniesieniem słowa, co krążyło dokoła, co wszystkie umysły ku sobie kierowało, pełnego nadziei i pociechy słowa:

— Królowa jedzie! jedzie królowa!

Wiesławek słuchał, patrzył, drżał z niecierpliwości oczekiwania, sen i chęć do jadła go odleciały. Nadszedł nareszcie dzień upragniony. Wszystko, co żyło, leciało na spotkanie królowej. Wiesławek wyprosił też sobie u Bożyma szczęście towarzyszenia mu w tej chwili nad wyraz uroczystej. Pan z Nieborowic z przyboczną drużyną od wczesnego już ranka, wyjechał z obozu i wmieszał się w tłum zgromadzonego rycerstwa. Bożym też wkrótce podążył na drogę, którą miał przeciągać orszak królewski, zabierając z sobą Wiesławka. Udało im się znaleźć miejsce wygodne, usadowili się między gałęziami starej przydrożnej wierzby, mogli więc widzieć doskonale, zwłaszcza Wiesławek wysoko, jak ptak w górze, zawieszony.

— Jak też królowa wygląda? — dopytywał się swego opiekuna, czy ją aby poznam w tym tłumie narodu?

— Chybabyś oczu nie miał, żebyś jej nie poznał — odrzekł Bożym — toć ona nietylko godnością, ale i cudną urodą nad wszystkiemi góruje. To anioł nasz śliczny, to jasne słońko polskiej ziemi.

— A wyście ją gdzie widzieli?

— Także pytanie! gdzieżbym ja ją mógł widzieć, kiedy ona dopiero przyjeżdża? Dość mi tego, co o niej słyszałem od tych, którzy do jej matki do Węgier jeździli.

d. c. n.

St. Junosza.

